

HARLAN COBEN

Niewinny

Thriller



*Pamięci
Stevena Z. Millera*

Do tych z nas, którzy mieli szczęście być jego przyjaciółmi:
Próbujemy dziękować za wspólnie spędzone chwile,
ale tak trudno się z tym pogodzić.

A do rodziny Steve'a, szczególnie do Jessego, Mai T. i Nica:
Kiedy pocujemy się na siłach, porozmawiamy o waszym ojcu,
ponieważ był najlepszym ze znanych nam ludzi.

Prolog

Wcale nie zamierzałeś go zabić.

Nazywałeś się Matt Hunter. Masz dwadzieścia lat. Wychowałeś się w zamieszkanym przez wyższą klasę średnią podmiejskiej dzielnicy na północy New Jersey, niedaleko Manhattanu. Mieszkasz w biedniejszej części miasta, ale to bardzo bogate miasto. Twoi rodzice ciężko pracują i bezgranicznie cię kochają. Masz starszego brata, którego podziwiasz, i młodszą siostrę, którą tolerujesz.

Jak każdy dzieciak w sąsiedztwie dorastasz, niepokojąc się o swoją przyszłość i college, do którego się dostaniesz. Solidnie pracujesz i otrzymujesz naprawdę dobre stopnie. Twoja średnia to piątka z minusem. Nie mieścisz się w pierwszej dziesiątce, ale niewiele ci brakuje. Nie stronisz od prac społecznych, przez jedną kadencję byłeś nawet skarbnikiem szkolnym. Nieźle grasz w futbol i w kosza — wystarczająco dobrze, by występować w drużynie szkolnej, ale nie dość dobrze, żeby przyznali ci stypendium. Jesteś sprytny i czarujący. W rankingach popularności zajmujesz miejsce w czołówce. Twoje doskonałe wyniki testów kwalifikacyjnych zadziwiają szkolnego psychologa.

Ubiegasz się o przyjęcie do najlepszych uczelni, ale te są poza twoim zasięgiem. Harvard i Yale odrzucają twoje podanie od razu. Penn i Columbia umieszczają cię na listach oczekujących. W końcu idziesz do Bowdoin, niewielkiego

elitarnego college'u w Brunswick. Podoba ci się tam. Klasy są niewielkie. Znajdujesz przyjaciół. Nie wiążesz się na stałe z żadną dziewczyną, ale pewnie dlatego, że nie chcesz. Już na pierwszym roku występujesz jako obrońca w uczelnianej drużynie futbolowej. Świetnie grasz w kosza i teraz, kiedy środkowy rozgrywający skończył studia, masz poważną szansę na stałe miejsce w drużynie.

I właśnie wtedy, gdy wracasz do miasteczka uniwersyteckiego w przerwie między pierwszym a drugim semestrem, zabijasz kogoś.

Spędziłeś cudowne wakacje ze swoją rodziną, ale musisz trenować. Żegnasz się z matką i ojcem, po czym wracasz do miasteczka uniwersyteckiego ze swoim najlepszym przyjacielem i współlokatorem, Duffem. Duff jest z Westchester w stanie Nowy Jork. To krępy osiłek o kłocowatych nogach. W futbol gra na prawym skrzydle, a na meczach koszykówki przeważnie siedzi na ławce rezerwowych. Jest największym opojem na uczelni — Duff nigdy nie przepuści okazji do wypitki.

Ty prowadzisz.

Duff chce po drodze wpaść na Umass w Amherst. Jego kolega z liceum jest tam członkiem bractwa studenckiego. Organizują wielką bibę.

Nie jesteś entuzjastycznie nastawiony, ale zawsze tak reagujesz. Wolisz kameralne imprezy, na których wszystkich znasz. Na Bowdoin uczy się około tysiąca sześciuset studentów. Na Umass prawie czterdzieści tysięcy. Jest początek stycznia i piekielnie zimno. Na ziemi leży śnieg. W drodze do siedziby bractwa widzisz w powietrzu parę swojego oddechu.

Razem z Duffem rzucacie płaszcze na stertę innych. Będziesz o tym rozmyślał przez kilka lat, o tym niedbałym rzuceniu płaszczy. Gdybyś został w płaszczu, gdybyś zostawił go w samochodzie albo położył gdzie indziej...

Jednak nie.

Impreza jest niezła. Owszem, trochę zwariowana, ale masz wrażenie, że to wymuszone szaleństwo. Przyjaciel Duffa chce, żebyście obaj przenocowali w jego pokoju. Zgadzasz się. Sporo wypiełeś — w końcu to studencka zabawa — chociaż na

pewno nie tyle co Duff. Zabawa się kończy. W pewnej chwili obaj idziecie po płaszcze. Duff trzyma piwo. Bierze płaszczy i zarzuca sobie na ramię.

Kiedy to robi, wylewa trochę piwa.

Niedużo. Tylko trochę. Jednak to wystarcza.

Piwo łąduje na czerwonej kurtce bez rękawów. To jeden ze szczegółów, które zapamiętasz. Na zewnątrz temperatura spadła poniżej zera, a jednak ktoś przyszedł tu w kurtce bez rękawów. Nie zapomnisz także tego, że bezrękawnik jest nieprzemakalny. Ta odrobina piwa nie mogła go zabrudzić. Nie pozostawiłaby plamy. Z łatwością dałoby się ją wytrzeć.

— Hej! — krzyczy ktoś.

To właściciel czerwonego bezrękawnika; postawny, ale nieprzerośnięty. Duff wzrusza ramionami. Nie przeprasza. Facet, Pan Czerwony Bezrękawnik, uderza go w twarz. To błąd. Ty wiesz, że Duff uwielbia się bić i łatwo wpada w złość. W każdej szkole jest taki Duff — facet, który nigdy nie przegrywa.

Oczywiście, o to właśnie chodzi. W każdej szkole jest taki Duff. I czasem jeden Duff trafia na drugiego Duffa.

Próbujesz to przerwać, obrócić w żart, ale masz przed sobą dwóch pijanych, czerwonych na twarzy facetów, którzy zaciskają pięści. Jeden z nich rzuca wyzwanie. Nie pamiętasz który. Wszyscy wychodzą na mroźne powietrze i uświadamiasz sobie, że wpadłeś w tarapaty.

Postawny facet od bezrękawnika ma przyjaciół.

Jest ich ośmiu lub dziewięciu. Ty i Duff jesteście sami. Rozglądasz się za szkolnym przyjacielem Duffa — Markiem czy też Mikiem — ale nigdzie go nie widać.

Bójka zaczyna się szybko.

Duff opuszcza głowę i atakuje Czerwonego Bezrękawnika. Ten robi unik i łapie go za szyję. Wali Duffa w nos. Wciąż jedną ręką ściska jego szyję, a drugą uderza ponownie. I jeszcze raz. I jeszcze.

Duff słania się. Zadaje chaotyczne, niecelne ciosy. Po siódmym czy ósmym uderzeniu przestaje je zadawać. Przyjaciele Czerwonego Bezrękawnika zaczynają wiwatować. Ręce Duffa bezwładnie zwisają wzdłuż boków.

Chcesz to powstrzymać, ale nie wiesz jak. Czerwony Bezrękawnik metodycznie zabiera się do roboty, wymierzając zamaszyste uderzenia. Kumple go dopingują. Wydają głośne ochy i achy przy każdym ciosie.

Jesteś przerażony.

Twój przyjaciel zbiera cięgi, ale ty bardziej obawiasz się o siebie. To cię zawstydza. Chcesz coś zrobić, ale boisz się, naprawdę się boisz. Nie możesz się poruszyć. Nogi masz jak z waty. Przechodzi cię dreszcz. I nienawidzisz się za to.

Czerwony Bezrękawnik kolejny raz wali Duffa w twarz. Puszczą go. Duff pada na ziemię, bezwładnie jak worek z ciuchami do prania. Czerwony Bezrękawnik kopie go w bok.

Jesteś najgorszym z przyjaciół. Zbyt przestraszonym, żeby pomóc. Nigdy nie zapomnisz tego uczucia. Tchórzostwo. To gorsze od bicia, myślisz. Twoje milczenie. To okropne uczucie zhańbienia.

Następny kopniak. Duff z jękiem przetacza się na plecy. Twarz ma zalaną szkarłatnymi strumykami krwi. Później się dowiesz, że odniósł tylko powierzchowne obrażenia. Podbite oczy i liczne siniaki. Tylko tyle. Teraz jednak wygląda paskudnie. Ty wiesz, że on nigdy by tak nie stał, gdyby to ciebie tak okładano.

Nie możesz już tego znieść.

Wyskakujesz z tłumu.

Wszystkie głowy odwracają się w twoją stronę. Przez moment nikt się nie rusza. Nikt się nie odzywa. Czerwony Bezrękawnik ciężko dyszy. Widzisz parę jego oddechu, unoszącą się w mroźnym powietrzu. Drżysz. Próbujesz przemówić mu do rozumu. Hej, mówisz, on ma już dość. Koniec z tym. Wygrałeś, mówisz Czerwonemu Bezrękawnikowi.

Ktoś skacze na ciebie z tyłu. Obejmuje cię w niedźwiedzim uścisku.

Zostałeś unieruchomiony.

Teraz Czerwony Bezrękawnik rusza na ciebie. Serce tłucze ci się w piersi jak ptak w zbyt małej klatce. Uderzasz głową w tył. Z trzaskiem walisz czaszką w czyjś nos. Czerwony Bezrękawnik jest coraz bliżej. Odskakujesz w bok. Znów ktoś

wyłania się z tłumu. Ma jasne włosy i rumianą cerę. Domyślasz się, że to kolejny kumpel Czerwonego Bezrękawnika.

Nazywa się Stephen McGrath.

Usiłuje cię złapać. Rzucasz się jak ryba na haczyku. Za nim ruszają następni. Wpadasz w panikę. Stephen McGrath łapie cię za ramiona. Próbujesz się wyrwać. Gwałtownie obracasz się na pięcie.

A potem łapiesz go za szyję.

Czy rzuciłeś się na niego? Czy on cię pociągnął, czy też ty go popchnąłeś? Nie wiesz. Czy jeden z was stracił równowagę? Czy powodem był oblodzony chodnik? Będziesz wracał do tego myślami mnóstwo razy, lecz nigdy nie znajdziesz odpowiedzi.

Tak czy inaczej, obaj padacie.

Ty wciąż trzymasz go za szyję. Za gardło. Nie puszczasz.

Łądujecie z łoskotem. Głowa Stephena McGratha uderza o krawężnik. Słychać trzask, okropny dźwięk, rodzaj plaśnięcia połączonego z głuchym łoskotem, odgłos, jakiego jeszcze nigdy nie słyszałeś.

Ten dźwięk oznacza kres znanego ci życia.

Zawsze będziesz go pamiętał. Nigdy cię nie opuści ten okropny dźwięk.

Wszystko zastyga. Patrzysz w dół. Oczy Stephena McGratha są otwarte i nieruchome. Jednak ty już wiesz. Poznajesz to po nagłym zwiotczeniu jego ciała i po tym okropnym trzasku.

Tłum się rozpierzcha. Ty zostajesz. Nie ruszasz się bardzo długo.

Potem wszystko dzieje się szybko. Przybywa ochrona kampusu. Potem policja. Mówisz im, co się stało. Twoi rodzice wynajmują dobrą prawniczkę z Nowego Jorku. Ona radzi ci zeznać, że działałeś w samoobronie. Tak robisz.

I wciąż słyszysz ten okropny trzask.

Oskarżyciel marszczy brwi. Wysoki Sądzie, mówi, oskarżony poślizgnął się, ściskając oburącz gardło Stephena McGratha? Czy on naprawdę oczekuje, że w to uwierzemy?

Proces ma niepomyślny przebieg.

Ciebie nic nie obchodzi. Kiedyś przejmowałaś się stopniami i grą. Żalodne. Przyjaciele, dziewczyny, popularność, zabawy,

postępy w nauce, wszystko. Jakże ulotne. Zastąpił je ten okropny trzask czaszki uderzającej o krawężnik.

Podczas procesu słyszysz płacz rodziców, ale nawiedzać cię będą twarze Soni i Clarka McGrathów, rodziców ofiary. Sonya McGrath przez cały czas przeszywa cię wzrokiem. Usiłuje zmusić, żebyś spojrział jej w oczy.

Nie możesz.

Próbujesz słuchać werdyktu, ale przeszkadzają ci te inne odgłosy. One nigdy nie cichną, nigdy nie ustają, nawet wtedy kiedy sędzia mierzy cię surowym wzrokiem i wydaje skazujący wyrok. Prasa pilnie obserwuje proces. Nie zostaniesz wysłany do łagodnego wiejskiego więzienia dla białych chłopców. Nie teraz, kilka miesięcy przed wyborami.

Twoja matka mdleje. Ojciec stara się być silny. Siostra wybiega z sali sądowej, a brat, Bernie, stoi jak skamieniały.

Zakładają ci kajdanki i zostajesz wyprowadzony. Nie jesteś przygotowany na to, co cię czeka. Oglądałeś telewizję i słyszałeś tyle opowieści o gwałtach w więzieniach. To cię nie spotyka — nie napastują cię seksualnie — ale nim minie tydzień, zostajesz pobity. Popelniasz błąd, identyfikując napastnika. Zostajesz pobity jeszcze dwukrotnie i spędzasz dwa tygodnie na izbie chorych. Jeszcze po latach czasem znajdujesz krew w moczu — pamiątkę po ciosie w nerki.

Żyjesz w nieustannym strachu. Kiedy wracasz na łono więziennej społeczności, przekonujesz się, że możesz przetrwać tylko wtedy, gdy przyłączysz się do upiornego odłamu Aryan Nation. Jej członkowie nie mają żadnych wielkich idei ani cudownych recept na przyszłość Ameryki. Po prostu kochają nienawidzić.

Sześć miesięcy po procesie twój ojciec umiera na atak serca. Wiesz, że to twoja wina. Chcesz płakać, ale nie możesz.

Spędzasz w więzieniu cztery lata. Cztery lata — tyle samo, ile większość studentów spędza w college'u. Zbliżają się twoje dwudzieste piąte urodziny. Ludzie mówią, że się zmieniłeś, ale ty nie jesteś tego pewny.

Kiedy wychodzisz, ostrożnie stawiasz kroki. Jakby grunt mógł usunąć ci się spod nóg, jakby ziemia w każdej chwili mogła się pod tobą rozstąpić.

To wrażenie już nigdy cię nie opuści.

Twój brat Bernie czeka na ciebie przy bramie. Właśnie się ożenił. Jego żona Marsha nosi ich pierwsze dziecko. Bernie bierze cię w ramiona. Niemal czujesz, jak ostatnie cztery lata odpływają w dal. Brat rzuca jakiś żart. Śmiejesz się, naprawdę się śmiejesz, po raz pierwszy od tak dawna.

Pomyliłeś się — twoje życie nie zakończyło się tamtej mroźnej nocy w Amherst. Brat pomoże ci wrócić do normalnego życia. Z czasem spotkasz nawet piękną kobietę. Ma na imię Olivia. Uczyni cię bezgranicznie szczęśliwym.

Ożenisz się z nią.

Pewnego dnia — dziewięć lat po wyjściu z więzienia — dowiesz się, że twoja piękna żona jest w ciąży. Postanawiasz kupić telefon komórkowy z aparatem fotograficznym, żeby być z nią w nieustannym kontakcie. Jesteś w pracy, kiedy dzwoni telefon.

Nazywasz się Matt Hunter. Telefon dzwoni po raz drugi. A kiedy go odbierasz...

DZIEWIĘĆ LAT PÓŹNIEJ

1

RENO, NEVADA 18 KWIETNIA

Dzwonek do drzwi wyrwał Kimmy Dale z głębokiego snu. Poruszyła się na łóżku, jęknęła i spojrzała na zegar stojący na nocnym stoliku.

11.47.

Chociaż dochodziło południe, w przyczepie mieszkalnej było ciemno jak w nocy. Kimmy to lubiła. Pracowała w nocy i miała lekki sen. Za dawnych czasów w Vegas dopiero po kilku latach prób z zasłonami, żaluzjami, roletami, kotarami i przepaskami na oczy znalazła taką kombinację, która naprawdę nie pozwalała prażącemu słońcu Nevady wyrwać jej z drzemki. Słońce Reno nie było tak bezlitosne, lecz mimo to potrafiło znaleźć i wykorzystać nawet najmniejszą szparę.

Kimmy usiadła na szerokim łożu. Telewizor, produkt jakiejś anonimowej firmy, który kupiła, kiedy pobliski motel w końcu postanowił wymienić sprzęt na lepszy, wciąż grał z wyłączoną fonią. Postacie na ekranie przepływały niczym widma w jakimś odległym świecie. Teraz spała sama, ale bywało różnie. Kiedyś każdy gość, każdy przyszły kochanek, przynosił do tego łóżka nadzieję. Myślała wtedy optymistycznie „może to właśnie ten”, ale po jakimś czasie doszła do wniosku, że oddaje się marzeniom.

Teraz już straciła nadzieję.

Powoli wstała. Przy tym ruchu zaboląły ją piersi, powiększone kolejną operacją plastyczną. Kimmy przeszła już

trzeci taki zabieg, a nie była młoda. Nie chciała tego, ale Chally, który uważał się za eksperta w tych sprawach, bardzo nalegał. Dostawała coraz mniejsze napiwki. Jej popularność malała. Tak więc zgodziła się.

Jednak skóra piersi była zbyt rozciągnięta po poprzednich zabiegach chirurgicznych. Kiedy Kimmy leżała na plecach, przekłute cycki opadały na bok i wyglądały jak rybie ślepia.

Dzwonek zadzwieczał ponownie.

Kimmy spojrzała w dół, na swoje hebanowe nogi. Trzydzieści pięć lat, nigdy nie miała dziecka, a żyłaki, które się jej porobiły, wyglądały jak płatanina żerujących larw. Zbyt wiele lat pracy na nogach. Chally chciał, żeby i z tym coś zrobiła. Wciąż była w formie, miała świetną figurę i niesamowity tyłek, ale cóż, trzydzieści pięć lat to nie osiemnaście. Początki cellulitis. I te żyłaki. Niczym jakaś cholerna mapa.

Wetknęła w usta papierosa. Pudełko z zapalkami pochodziło z jej obecnego miejsca pracy, lokalu striptizowego Eager Beaver. Kiedyś była gwiazdą Vegas, występowała pod pseudonimem Black Magic. Nie tęskniła za tamtymi czasami. Prawdę mówiąc, nie tęskniła za żadnymi czasami.

Kimmy Dale narzuciła szlafrok i otworzyła drzwi sypialni. Frontowy pokój nie był zabezpieczony przed słońcem. Zaatakowało ją wściekle. Osloniła oczy i zamrugowała. Kimmy nie miewała wielu gości — nigdy nie sprowadzała gachów do domu — doszła więc do wniosku, że to zapewne świadkowie Jehowy. W przeciwieństwie do niemal wszystkich innych obywateli wolnego świata Kimmy nie miała nic przeciwko ich sporadycznym wizytom. Zawsze zapraszała tych krzewicieli religii do swego domu i uważnie wysłuchiwała, co mieli do powiedzenia. Zazdrościła im tego, co znaleźli, i żałowała, że nie potrafi przekonać się do ich wiary. Tak samo jak z mężczyznami jej życia, miała nadzieję, że tym razem będzie inaczej, że tym razem zdołają ją przekonać i uwierzyć.

Otworzyła drzwi, nie pytając, kto tam.

— Pani jest Kimmy Dale?

Dziewczyna w drzwiach była młoda. Osiemnaście, dwadzieścia lat, coś koło tego. Nie, to nie świadek Jehowy.

Nie miała na ustach tego bezmyślnego uśmiechu. Przez moment Kimmy zastanawiała się, czy to jedna z dziewcząt zwerbowanych przez Chally'ego, ale nie. Ta dziewczyna nie była brzydka ani nic takiego, ale też nie w jego typie. Jak na Chally'ego, za mało seksowna.

— Kim jesteś? — zapytała Kimmy.

— To nieważne.

— Proszę?

Dziewczyna opuściła oczy i przygryzła dolną wargę. Kimmy dostrzegła w tym zachowaniu coś dziwnie znajomego i poczuła mrowienie w piersiach.

— Pani znała moją matkę — oznajmiła dziewczyna.

Kimmy bawiła się papierosem.

— Znam wiele matek.

— Moją matką była Candace Potter.

Kimmy skrzywiła się. Było ponad trzydzieści stopni, ale nagle mocniej otuliła się szlafrokiem.

— Mogę wejść?

Czy przytaknęła? Sama nie wiedziała. Odsunęła się na bok i dziewczyna weszła do środka.

— Nie rozumiem — rzekła Kimmy.

— Candace Potter była moją matką. Oddała mnie do adopcji w tym samym dniu, w którym się urodziłam.

Kimmy usiłowała zachować spokój. Zamknęła drzwi przyczepy.

— Napijesz się czegoś?

— Nie, dziękuję.

Obie kobiety przyglądały się sobie. Kimmy założyła ręce na piersi.

— Nie wiem, czego chcesz — powiedziała.

— Dwa lata temu dowiedziałam się, że jestem adoptowana — zaczęła dziewczyna, jakby wcześniej przygotowała sobie przemowę. — Kocham moją przybraną rodzinę, więc nie chcę, żeby wyciągnęła pani niewłaściwe wnioski. Mam dwie siostry i cudownych rodziców. Byli dla mnie bardzo dobrzy. Nie chodzi o nich. Po prostu... kiedy człowiek dowiaduje się czegoś takiego, musi wiedzieć.

Kimmy kiwnęła głową, chociaż nie była pewna dlaczego.

— Tak więc zaczęłam szukać jakichś informacji. To nie było łatwe. Jednak są ludzie, którzy pomagają adoptowanym dzieciom odnaleźć rodziców.

Kimmy wyjęła papierosa z ust. Trzęsła jej się ręka.

— Jednak wiesz, że Candi... to znaczy twoja matka... Candace...

— Nie żyje. Tak, wiem. Została zamordowana. Dowiedziałam się w zeszłym tygodniu.

Kimmy poczuła, że nogi ma jak z waty. Usiadła. Wspomnienia napłynęły bolesną falą.

Candace Potter. Znana w klubach jako Candi Cane.

— Czego ode mnie chcesz? — spytała Kimmy.

— Rozmawiałam z policjantem, który prowadził śledztwo. Nazywa się Max Darrow. Pamięta go pani?

Och tak, pamiętała dobrego starego Maksa. Znała go jeszcze przed tym morderstwem. Z początku detektyw Max Darrow zajmował się tą sprawą jakby od niechcenia. Kwestia priorytetów. Martwa striptizerka, bez rodziny. Jeszcze jeden uschnięty kaktus na pustyni, oto czym Candi była dla Darrowa. Kimmy postanowiła zmienić jego podejście do sprawy, wymieniła przysługę za przysługę. Taki już jest ten świat.

— Taak — powiedziała. — Pamiętam go.

— Przeszedł na emeryturę. Mówię o Maksie Darrowie. Mówi, że wiedzą, kto ją zabił, tylko nie wiedzą, gdzie jest.

Kimmy poczuła, że łzy napływają jej do oczu.

— To było dawno temu.

— Pani i moja mama byłyście przyjaciółkami?

Kimmy zdołała kiwnąć głową. Wciąż pamiętała tamte czasy, oczywiście. Candi była dla niej kimś więcej niż przyjaciółką. Na tym świecie rzadko znajduje się ludzi, na których naprawdę można liczyć. Candi była jedną z takich osób — może jedyłą, od kiedy mama umarła, gdy Kimmy miała dwanaście lat. Były nierozłączne, Kimmy i ta biała laska, czasem używały, przynajmniej na scenie, pseudonimów Pic i Sayers, z tego starego filmu *Pieśń Briana*. A potem, tak samo jak na filmie, jej biała przyjaciółka umarła.

— Była prostytutką? — zapytała dziewczyna.

Kimmy potrząsnęła głową i skłamała:

- Nigdy.
- Jednak była striptizerką.

Kimmy milczała.

- Ja jej nie osądzam.
- No to czego chcesz?
- Chcę się dowiedzieć czegoś o mojej matce.
- Teraz to już nie ma żadnego znaczenia.
- Dla mnie ma.

Kimmy pamiętała, kiedy usłyszała tę wiadomość. Była na scenie na przedmieściu Tahoe, wykonując powolny numer dla gości w porze lunchu, największej bandy nieudaczników w historii ludzkości, facetów mających na butach kurz, a w sercach dziury, które jeszcze się powiększały na widok nagich kobiet. Nie widziała Candi od trzech dni, ale Kimmy była w trasie. Tam, na tej scenie, po raz pierwszy usłyszała plotki. Wiedziała, że stało się coś złego. Modliła się, żeby to nie dotyczyło Candi.

Na próżno.

- Twoja matka miała ciężkie życie — oznajmiła Kimmy. Dziewczyna siedziała, czekając.

— Candi myślała, że uda nam się jakoś wyrwać, wiesz? Z początku uważała, że dzięki facetom z klubu. Poznają nas i zabiorą ze sobą. Co za bzdury. Niektóre dziewczyny tego próbują. Nigdy nie wychodzi. Facet pragnie spełnienia swoich fantazji, nie ciebie. Twoja matka nauczyła się tego bardzo szybko. Była marzycielką, ale miała wytyczony cel.

Kimmy zamilkła i zapatrzyła się w dal.

- I?
- I wtedy ten drań zatłukł ją, jakby była robakiem.

Dziewczyna wierciła się na krześle.

— Detektyw Darrow powiedział, że nazywał się Clyde Rangor?

Kimmy pokiwała głową.

— Wspomniał również o kobiecie, niejakej Emmie Lemay. Czy ona była jego współniczką?

— W pewnych sprawach, owszem. Jednak nie znam szczegółów.

Kimmy nie płakała, kiedy pierwszy raz usłyszała tę

wiadomość. Nie mogła. Jednak doszła do siebie. Zaryzykowała życie, mówiąc temu cholernemu Darrowowi wszystko, co wiedziała.

Człowiek w życiu na ogół się nie stawia. Jednak Kimmy nie zdradziłaby Candi nawet wtedy, kiedy już nie mogła jej pomóc. Ponieważ wraz ze śmiercią Candi umarła najlepsza część Kimmy.

Dlatego rozmawiała z glinami, szczególnie z Maksem Darrowem. Ktokolwiek to zrobił — a tak, była pewna, że to sprawka Clyde'a i Emmy — mógł ją skrzywdzić lub zabić, ale nie zdoła jej powstrzymać.

W końcu Clyde i Emma nie zemścili się na niej. Zamiast tego uciekli.

Od tamtych wydarzeń minęło już dziesięć lat.

— Wiedziała pani o mnie? — spytała dziewczyna.

Kimmy powoli skinęła głową.

— Twoja matka powiedziała mi, ale tylko raz. To było dla niej zbyt bolesne, żeby o tym mówić. Musisz zrozumieć. Candi była młoda, kiedy to się stało. Miała piętnaście lub szesnaście lat. Zabrali cię, gdy tylko przyszedł na świat. Nawet nie wiedziała, czy urodziła chłopca, czy dziewczynkę.

Zapadła głucha cisza. Kimmy chciała, żeby dziewczyna już sobie poszła.

— Jak pani sądzi, co się z nim stało? Z Clyde'em Rangorem.

— Pewnie nie żyje — odparła Kimmy, chociaż sama w to nie wierzyła. Takie karaluchy jak Clyde nie umierają. Po prostu chowają się, żeby znów krzywdzić ludzi.

— Chcę go odnaleźć — oznajmiła dziewczyna.

Kimmy tylko spojrzała na nią.

— Chcę odszukać mordercę mojej matki i postawić go przed sądem. Nie jestem bogata, ale mam trochę pieniędzy.

Obie milczały przez chwilę. Powietrze było ciężkie i lepkie. Kimmy zastanawiała się, jak to ująć w słowa.

— Mogę ci coś powiedzieć? — zaczęła.

— Oczywiście.

— Twoja matka próbowała walczyć z tym wszystkim.

— Z czym?

Kimmy nie rezygnowała.

— Większość dziewcząt poddaje się. Rozumiesz? Twoja matka nigdy tego nie zrobiła. Nie ugięła się. Marzyła. Jednak nie mogła wygrać.

— Nie rozumiem.

— Jesteś szczęśliwa, dziecko?

— Tak.

— Jeszcze chodzisz do szkoły?

— Zaczynam naukę w college'u.

— W college'u — powiedziała z rozmarzeniem Kimmy. I zaraz dodała: — Ty.

— Co w tym dziwnego?

— Widzisz, twoja matka zwyciężyła.

Dziewczyna milczała.

— Candi, twoja matka, nie chciałaby, żebyś była w to zamieszana. Rozumiesz?

— Chyba tak.

— Zaczekaj chwilkę. — Kimmy otworzyła szufladę. To było tam, oczywiście. Już nie trzymała tego zdjęcia na wierzchu, ale wciąż je miała. Ona i Candi śmiejące się do całego świata. Pic i Sayers. Kimmy popatrzyła na siebie i uświadomiła sobie, że ta młoda dziewczyna, którą nazywali Black Magic, to obca osoba, jakby Clyde Rangor i ją zatłukł na śmierć.

— Weź je — powiedziała.

Dziewczyna delikatnie wzięła zdjęcie, jakby było z porcelany.

— Była piękna — szepnęła.

— Bardzo.

— Wygląda na szczęśliwą.

— Nie była. Jednak dziś byłaby szczęśliwa.

Dziewczyna stanowczo podniosła głowę.

— Nie wiem, czy zdołam trzymać się od tego z daleka.

Może więc jesteś bardziej podobna do matki, niż ci się wydaje, pomyślała Kimmy.

Potem uściskały się i obiecały, że pozostaną w kontakcie. Kiedy dziewczyna poszła, Kimmy ubrała się. Pojechała do kwaciarni i poprosiła o tuzin tulipanów, ulubionych kwiatów Candi. Odbyla czterogodzinną podróż na cmentarz i ukłękła

przy grobie przyjaciółki. Wokół nie było nikogo. Kimmy starła kurz z niewielkiego nagrobka. Sama opłaciła kamieniarza. Candi nie będzie leżeć w anonimowym grobie.

— Dziś odwiedziła mnie twoja córka — rzekła głośnie.

Wiał łagodny wietrzyk. Kimmy zamknęła oczy i nasłuchiwała. Wydało jej się, że słyszy głos Candi, tak długo niesłyszany, proszący ją, żeby zadbała o bezpieczeństwo jej córki.

I klęcząc tak w prażącym słońcu Nevady, Kimmy obiecała, że to zrobi.